

DEKRET

*W NIEBIESKIM
FEROWANY
PARLAMENCIE*

DEKRET

*W NIEBIESKIM
FEROWANY
PARLAMENCIE*

CZYLI GAŃŚĆ
TESTAMENTÓW
POLSKICH OD RÓŻNYCH
LUDZI RÓŻNYMI CZASY
PISANYCH

dopiero zaś w jedno
zebranych i drukiem
potomnej pamięci podanych
od mniszki niektórej
kassynieńskiego zakonu
w krakowie RP MCMLXXXIV



TYNIEC

WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Projekt okładki:
Bogumiła Czepiel OSB

Imprimi potest: Opactwo Benedyktynów
L.dz. 70/2020, Tyniec, dnia 6.05.2020
† o. Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie drugie – Kraków 2020

ISBN 978-83-7354-997-5

© Copyright by Małgorzata Borkowska OSB
© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków
tel. +48 (12) 688-52-90, tel./fax: +48 (12) 688-52-95
zamowienia@tyniec.com.pl
www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa:
Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
druk@tyniec.com.pl

Spis treści

Dedykacja	7
Wprowadzenie czyli śmierć po staropolsku	9
Czas pisania, sposób i schemat	13
Fałszerstwa, procesy, działy	23
Zawartość tomu, zasady wydania	26
Rozdział pierwszy: Gospodarze	33
Uniwersał baczego Macieja	33
Kłopoty ślimaka	41
Pokorny kutwa	55
Zabłoccy na roli.	63
Rozdział drugi: W kręgu pana sędziego	83
Teściowa	84
Żona	94
Siostrzenica żony	103
Sfałszowany testament żołnierza	121
Rozdział trzeci: Patriarchowie	129
Ostatni list groźnej „Zosieńki”	129
Szlachcianka z pasieki	145
Pisma nieumiejętny	152
Ciełuszka dla plebana	156
Klient radziwiłłowski	161

Rozdział czwarty: Dwaj duchowni	171
Ksiądz kanonik	171
Ksiądz pleban	176
Rozdział piąty: W rodzinie	189
Porachunki z bratem.	189
Zwykła sobie podkomorzyna	193
Fundator klasztoru	199
Stara panna i beczka miodu	220
Stara księżna i <i>abbé</i>	239
Rozdział szósty: Ku wyzwoleniu	253
Ludzie ubodzy	253
Ciężar niesiony do końca	257
W pół drogi	274
Magnat, który odszedł	279
Człowiek wolny	300

DEDYKACJA

W Bogu wielebnej jejmości pannie Edycie Samukównie, ksieni terazniejszej żarnowieckiej, mojej osobliwej dobrodziejce, ofiarowane.

Wszelki gmin drobny możniejszych od siebie żąda protekcycy, a łaską ich i dobrodziejstw zachęcany, na tym większe się sadzi przewagi, to rozumiejąc, iż nie daj Boże trafunku jakiego, ma, kto by go wspomógł. Tak ci on wróbelaszek, na orłowych skrzydłach uniesiony, śmieie samego Olimpu doleciał szczytów; tak i ja, moja miłościwa Panno, osobliwszą twoją łaską zagrzana, śmiem teraz do rąk twoich oddać ten *Dekret w niebieskim ferowany parlamencie*. A to śmieie czynię tym umysłem, abys ty, która w starożytnych rzeczy kochasz się pamiątkach, myśli ciężarami urzędu twego znużonej dać mogła wytchnienie, gdy do ręki twojej książeczkę tę małą wzięwszy, czytać będziesz o sprawach i ludziach onych dawnych. Jakoż nie wiem, komu by słuszniej należała ta dedykacja, jeśli nie tobie samej, któraś lekce sobie wając dobra nie-trwałe, to przede wszystkim z zawieruchy ognistej ratowała, co wieków i dziejów minionych pieczęć na sobie nosi. A ocalwszy od zagłady one stare fascykuły, tyś mnie od inszych wielu (choć i pilnie potrzebnych) zabaw obróciła ku tej oto,

abym na kształt pszczoły miód złocisty spijając z tych to pa-
miątek, porządnie go, komora po komorze, w plastry coraz
to nowych układała książeczek. Racz tedy błahą pracę moję
przyjąć mile, i w modlitwach swoich mnie nie przepominać.

W Żarnowcu, 27 maja R.P. 1984

WPROWADZENIE

czyli śmierć po staropolsku

Otwieram teczkę archiwalną...

Są to akta majątkowe, dotyczące posesji jakiejś wioski czy folwarku. Istna *silva rerum*! Na samym wierzchu drzewo genealogiczne kilku pokoleń pewnego możnego rodu, mające wykazać, kto, kiedy i po kim ów folwark dziedziczył, i że przeto „linia jegomości pana podczaszego do tego folwarku należeć nie ma i nie może”. Dalej jakiś inwentarz: „...po lewej ręce, idąc od tej bramy, świren nowy, u niego drzwi ze skoblem...” Dalej: „Ja, generał Jego Królewskiej Mości województwa mścińskiego, oznajmuję...” – to pozew sądowy, a raczej dowód jego doręczenia: woźny zeznaje, że go „oczewisto podał, obwołał tym, którzy tam stali i we wrota wjezdne wetknął”. (Na podwórze już nie wszedł: widać stamtąd do konopi byłoby za daleko.) Dalej skutek tego pozwu, plik akt sądowych: to najtrudniejsza lektura, i nie tylko z powodu staroświeckiej, kalkowanej z łaciny terminologii. Można się prędko zorientować, że „żałujący delator” to nie skruszony donosiciel, tylko skarżący powód, a „obżałowany” to nie świętej pamięci nieboszczyk, ale właśnie oskarżony. Można się (choć z trudem) przyzwyczaić do metrowych zdań, cią-

gnących się dosłownie przez kilka stron bez głównego orzeczenia. Ale kłopot w tym, że niejasność sformułowań była jedną z ulubionych ówczesnych broni prawnych, i jeśli już wtedy niejeden biegły jurysta dawał się stronie przeciwnej tą metodą wyprowadzić w pole, to co dopiero powiedzieć o dzisiejszym biednym badaczu, który ma jeszcze i to utrudnienie, że podchodzi do sprawy z zewnątrz, spoza środowiska i spoza całego tego układu postaw i skojarzeń, który zaginął razem z tamtym światem. Toteż w te akta ten się dziś tylko wglębia, kto koniecznie musi; chyba że nam ktoś taki jak Łoziński poda ekstrakt ze świetnym komentarzem, a wtedy i zwykłemu czytelnikowi trudno się od tej lektury oderwać.

Następny dokument zaczyna się od słów: „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego...” – to testament. I to jest jedna z lektur najciekawszych i może także najłatwiejszych. Łatwa choćby dlatego, że akt ostatniej woli musiał być sformułowany jasno, i testator zazwyczaj zadawał sobie wszelki możliwy trud, żeby tę jasność osiągnąć. Jedyne to też akta, w których o zainteresowanych osobach nie mówi się krótko „jejmość pani podstarościna kowieńska” (pozostawiając badaczowi beznadziejne zwykle zadanie ustalenia, co też to za podstarościna), ale jak najdokładniej: „jejmość pani Elizabet Towiańska Walerianowa Szukścina, podstarościna kowieńska, szwagierka moja”¹, i to niemal za każdym razem, kiedy o jejmości mowa. Daje to zwykle podstawę do ustalenia dość szczegóło-

¹ Testament H. Stankiewicza-Billewicza, 1672, zob. Archiwum Benedyktynek Wileńskich (ABWil) D 34.

wo małej tablicy genealogicznej, którą skądinąd uzyskiwane informacje najwyżej uzupełniają.

W ogóle jest testament kopalnią wiadomości: o stosunkach rodzinnych i majątkowych, o układach społecznych, o samych ludziach wreszcie – i to jest najciekawsze. Na ogół bowiem nie jest to tylko suche wyliczenie, co komu: raczej obrachunek z całym własnym życiem, czasami niemal spowiedź, dokonywana z granicy wieczności, z której wiele spraw przedstawia się już inaczej niż poprzednio, a jednocześnie istnieje niezwykle silna tendencja (może pokusa?), aby właśnie utrzymać poprzedni sposób myślenia, jakoś go uzasadnić i usprawiedliwić. Inaczej może trzeba by przyznać, że życie było przegrane i że po rozdaniu „zahorowanego pracą swą własną” majątku nic już właściwie po nim nie zostanie.

Był też testament klasycznym polem porachunków rodzinnych: „Nie uznawszy ja od niego należytej miłości i uszanowania żadnego, i owszem odbierając niezyczliwe różnymi czasy afekta...”. Kiedy indziej znów dominuje poczucie jakiegoś wyzwolenia, ostatecznego odrzucenia tego wszystkiego, co obciążało, wiązało troskami, gniozło do ziemi. Bywały wypadki, że ten ciężar zrzucano z siebie nie czekając ostatniej godziny: wdowy po rozdaniu dzieciom majątku szły czasem na „rezydencję” do jakiegoś klasztoru, Wincenty Piotr Wołowicz spisał testament i wstąpił do jezuitów.

Jest także bardzo częsty ton rozpaczliwej niemocy: testator stara się uporządkować swoje sprawy, ale wie dobrze (ostatecznie i on był kiedyś spadkobiercą...), ile do najjaśniejsformułowanego tekstu można jeszcze wynaleźć „przyczepki” i ile i tak będzie zależało od dobrej woli „pozostałej” (tj. żyją-

cej nadal) rodziny. Stąd to częste wzywanie na sąd Boży tych wszystkich, którzy by chcieli sprzeciwić się testamentowi; na ogół mało skuteczne... ale tym bardziej będzie kiedyś i ta rodzina drzeć o los własnych rozporządzeń. Słowem, mamy tu do czynienia z rodzajem źródła, w którym może najpełniej dochodzi do głosu sam człowiek z całą gmatwaniną swoich dążeń i miłości, ze wszystkimi próbami wprowadzenia do tej gmatwaniny ładu (mniej lub więcej skutecznie) i ujęcia jej w jakąś sensowną całość. Schematu do tego ujęcia dostarczała wiara, i był to schemat teoretycznie uznawany bez zastrzeżeń... ale właśnie tylko teoretycznie. W praktyce ciągle dochodzi do głosu inny odwieczny schemat, ten mianowicie, że dobry uczynek to wtedy, kiedy Kali komuś zabrać krowy. Nie wiem, czy rzeczywiście – jak to twierdzą niektórzy – nasi przodkowie mieli wiarę żywszą od naszej: wiem natomiast, że mieli równie dużo, co my, sposobów obchodzenia i unieszkodliwiania swojej wiary, chociaż może nie zawsze takich samych jak nasze. Dowodem choćby właśnie testamenty.

A pisał testament prawie każdy, kto zdążył: od takiego, któremu na obdzielenie dziesięciorga potomstwa wystarczyło nie tylko pojedynczych wiosek, ale i całych kluczów – do takiego, który mógł zostawić po sobie tylko pościel, żupan przechodzony, „starą szablę i Ptaszynę ruszniczkę”² ... (A co, fuzyjka moja? Niewielka ptaszyna!) Testamentów jest więc w archiwach mnóstwo. Pisali je magnaci i mieszczanie, nawet chłopci; pisali mężczyźni i kobiety, świeccy i księża. Nie pisali tylko zakonnicy, bo ci nie mają prawa własności do żadnej rzeczy, więc też i przekazywać niczego nie mogą.

² Testament Jerzego Budrewicza, por. niżej; ABWil C 11.

Pomimo to archiwa klasztorne zawierają także i ten rodzaj źródeł w obfitości. Zakupując jakąś posiadłość, dostawało się przecież wszelkie dotyczące jej akta, w tym między innymi testamenty poprzednich właścicieli; klasztory dostawały także kopię każdego testamentu, w którym był jakiś zapis na ich korzyść, a zobaczymy, że te „legacje pobożne” bywały liczne i hojne. Poza tym wiele rodzin szlacheckich oddawało swoje archiwa klasztorom na przechowanie, i to nieraz tak skutecznie, że przechowywały się te akta aż do dzisiaj, podczas gdy po rodzinie ślad zagaął. Wyjaśniam to dlatego, że ogromna większość tekstów, które tu przedstawię, wzięta jest z tego archiwum, do którego mam najłatwiejszy dostęp: mianowicie ze znajdującego się obecnie w klasztorze żarnowieckim archiwum benedyktynek wileńskich. Ale mogłyby być równie dobrze wzięte z każdego innego archiwum i z każdej innej części ówczesnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów: ogólny schemat był wszędzie i zawsze ten sam, jak wspólny był sposób myślenia, układy stosunków i cała atmosfera, którą przywykliśmy dzisiaj określać słowem „staropolska”, obejmując na ogół tym terminem czasy od Wazów do rozbiorów Polski.

Czas pisania, sposób i schemat

Pomimo utartego frazesu, zjawiającego się zwykle na początku testamentu i uzasadniającego jego spisanie prawdą o niepewności godziny śmierci, zdaje się, że na ogół czekało z tym spisaniem albo do późnej starości, albo do ciężkiej, poważnie już grożącej śmiercią choroby. Dowodzi tego choćby porównanie dat samych testamentów z datami wniesie-

nia ich do ksiąg grodzkich, opatrzonymi zawsze adnotacją, że ktoś (zazwyczaj sługa lub krewny testatora) zjawił się osobiście „na urządzie grodzkim” (tj. starościńskim), na urządzie wojewódzkim czy też nawet miejskim i „do akt podał testament zeszłego (tj. nieboszczyka) pana takiego to a takiego... który to testament, słowo po słowie, tak się w sobie ma”. I tu następuje tekst. Nie aktyfikowano testamentów osób żyjących, chyba że zrobił to sam testator w szczególnych okolicznościach, jak wspomniany już Wołłowicz. Otóż zwykle data spisania testamentu poprzedza zaledwie o parę miesięcy czy tygodni, a nieraz tylko dni, datę aktyfikacji. W pozostałych wypadkach, kiedy różnica liczy się w latach, mamy z zasady do czynienia z testatorem w podeszłym już wieku, który dlatego miał czas wypielegnować i parokrotnie poprawić swój testament, że śmierć spóźniła się na spodziewany termin.

Trudno ustalić, czy częściej dyktowano, czy pisano własnoręcznie, zachowane egzemplarze są bowiem przeważnie kopiami. Są to tak zwane widymusy: po wpisaniu zgłoszonego tekstu do ksiąg urzędowych każdy zainteresowany mógł sobie stamtąd wyciągnąć poświadczoną kopię, czyli widymus. Te, które zachowały się w oryginale, są jednak na ogół dyktowane, co zrozumiałe w ciężkiej chorobie. Czasem są to tylko „punkta do testamentu”, pośpieszne przedśmiertne zeznania i dyspozycje; częściej jednak testator (lub pisarz na jego prośbę) stara się zachować tradycyjny schemat i wszystkie cechy tego gatunku literackiego.

Bo mamy tu do czynienia właśnie z osobnym gatunkiem literackim, jak jest nim list czy kazanie; a poetyka tego gatunku jest niemal tak rygorystyczna, jak poetyka sonetu.

W ustalonej, rzadko naruszanej kolejności następują po sobie przepisane zwyczajem i tradycją punkty, a dopiero ten schemat wypełnia się żywą treścią: żalem, ufnością, pretensjami, troską... a czasem spokojnym poczuciem, że wszystko jest tak, jak być powinno, i pozostaje tylko odegrać godnie i należycie ostatnią swoją rolę w tym jakimś świętym misterium życia i śmierci.

Niezmiennie i zawsze testament (przynajmniej katolicki i prawosławny, innych nie znam) zaczyna się od wezwania Trójcy Świętej, często z jakimś emfatycznym dodatkiem, np. „Stań się wola Jego przenaświętsza nade mną” albo „Stań się ku wiecznej pamięci ta ostatnia testamentowej woli mojej dyspozycja, amen”. Niektóre testamenty zawierają zaraz potem bądź wyznanie wiary („...iż żyję i umieram w wierze świętej katolickiej...”), bądź zwrócone do Boga dziękczynienie za odebrane w życiu łaski; nie jest to jednak punkt stały, a zwłaszcza jego miejsce w tekście nie jest stałe. Koniecznym natomiast punktem wstępu jest uzasadnienie, które – czy proste czy kwieciste – zawiera zawsze dwie myśli: ogólną niepewność godziny śmierci oraz obowiązek zostawienia po sobie wszystkiego w takim porządku, „...aby po zejściu moim pomiędzy małżonką moją miłą a dziećmi nie było jakiego w czasie przyszłym warchołu”³.

Teraz następują dyspozycje, przy czym z zasady – przynajmniej w pełnym, nie pośpiesznie sporządzanym testamencie – pierwsze miejsce zajmuje w nich to wszystko, co się odnosi do potrzeb duszy i ciała samego testatora. Szczegól-

³ Testament Leona Abramowicza, por. niżej; zbiory prywatne.

ne wrażenie robi na czytelniku powracająca stale formuła (w obliczu śmierci balibyśmy się powiedzieć „frazes”) o oddaniu duszy Bogu, ciała ziemi, a potem majątku krewnym: dopiero tu można zrozumieć, co to naprawdę jest ogołocenie. Zwykle jest w to wpleciona pokorna modlitwa o darowanie win i akt ufności w zasługi Chrystusa; ale aby tym pewniej udziału w tych zasługach dostąpić, testatorzy starają się zapewnić sobie możliwie dużo modlitw Kościoła, tak już triumfującego, jak i jeszcze walczącego na ziemi. Błagają więc o wstawienictwo świętych, proszą o „powinną” modlitwę swoich spadkobierców, krewnych i przyjaciół, wreszcie także wzywają na pomoc tych, którzy się modlitwą niejako zawodowo trudnili, to jest duchowieństwo i ubogich. Ta prośba zawsze poparta jest jałmużną, tak, że nabiera cech transakcji. Czasami tak to wygląda, jakby człowiek, który całe życie spędził na zabieganiu o ziemską pomyślność, uważał za naturalne, że za skutki tych zabiegów może sobie zapewnić także i pomyślność wieczną. Czasem jest to jakby rozpaczliwa próba wykorzystania tej pracowicie nagromadzonej nicości do jedy- nego celu, który ostatecznie okazał się ważny. Kiedy indziej znów te zapisy pobożne są traktowane jako prosty obowią- zek, jako coś, co się Bogu należy dla pomnożenia Jego chwa- ły na ziemi. W każdym razie bardzo rzadkie są testamenty, które by takich zapisów nie zawierały; a bywa to czasem plą- tanina wiary i interesu tak zdumiewająca, że odkąd skończył się świat, który był jej środowiskiem naturalnym, trudno pa- trzyć na nią inaczej, niż Słowacki na swego Starostę:

Słowem, była to dziwna miszkulancja
Świętości, złota, folgi – jak monstrancja.

Zwłaszcza klasztorom przepisywano w testamentach bardzo dokładnie, ile, czego i kiedy miały „wiecznymi czasami” odprawić i odmówić za poszczególnych swoich dobroczyńców, co już po dwu stuleciach doprowadziło do zupełnie groteskowego przeciążenia zgromadzeń dodatkowymi nabożeństwami płynącymi z „obligacji”: kasowali to od końca XVIII wieku wizytujący biskupi. Razi nas także dzisiaj obliczanie, ile Mszy wyjdzie za taką czy inną sumę; a jeśli zamożna mieszczka życzyła sobie, „aby w dzień pogrzebu mego było Mszy świętych sto, niechby i więcej”⁴ – to ileż ich dopiero zamawiała wojewodzina? Czasem ta ilość idąca w setki i tysiące staje się wbrew intencjom testatorów niemal jak dowód lekceważenia: na kopy i pęczki liczy się rzecz tanią, ale nie Ofiarę Chrystusa... A swoją drogą wzruszająca bywa ta gorliwość, z jaką wdowiec lub wdowa stara się przez takie fundacje pobożne wspomagać duszę zmarłego współmałżonka, traktując to jako ostatni obowiązek wiernej miłości.

Zawsze także proszono o rozdawanie jałmużny ubogim tak w dzień pogrzebu, jak i poza nim: na modlitwę ubogich liczono bardzo, i w rachunkach pozostawionych przez egzekutorów testamentu spotykamy szczegółowe wykazy, ile dano i dokładnie komu: babkom szpitalnym... pannie, co się zebrać wstydzi... żołnierzowi bez nogi... kancerowatemu..⁵ Osobno przeznaczano się pieniądze na dzwonienie: brał je dzwonnik za swój trud i dzwonił długo, a na dźwięk dzwonu

⁴ Testament Agnieszki Korzeniowskiej, zob. WŁ. ŁOZIŃSKI, *Patrycjat i mieszczaństwo lwowskie*, s. 165.

⁵ Np. ABWil C 16 i C 18: sprawy pogrzebu Anny Jurewiczowej i Teresy Szemiotowej.

każdy wierny poczuwał się do obowiązku modlitwy za zmarłych. Jeśli zaś był ubogi, to śpieszył na pogrzeb: tam mógł być pewien datku i posiłku.

Dyspozycje co do pogrzebu mieszczą się zwykle na początku tej części testamentu, otwierając listę pobożnych zapisów, ponieważ obdarowywano przede wszystkim ten kościół, w którym (lub obok którego) miało spocząć ciało. Wiadomo, jaką pompą i nieprawdopodobną wystawnością odznaczały się staropolskie pogrzeby; testatorzy sami bardzo często usiłowali temu zapobiec, ponoć na ogół bezskutecznie. Zofia Chodkiewiczowa zwraca się w testamencie do męża:

(...) wszak i sameś waszmość zawždy to ganił, że koszty niepotrzebne czynią przy pogrzebach, i lepiej a pożyteczniej obrócić to waszmości na jałmużny za moją duszę, o co pokornie proszę. O ołtarz racz się też waszmość starać uprzywilejowany nad tym grobem, gdzie grzeszne ciało moje leżeć będzie (...)⁶.

Ten protest przeciw pompie najczęstszy jest jednak u tych, którzy czy to bogactwa, czy znaczenia mieli w życiu tyle, że im ono przestało imponować. Żona hetmana i patrycjuszka lwowska są tu jednomyślne: zamiast parady,

(...) postawić ciało w kościele, babek zaprosić, aby za ciałem klęczały. Dać im rańtuchy po cztery arszyny, żeby koszule miały, na co odkazuję cztery półsetki. Świece dać białe, bo się to na chwałę Bożą obróci⁷.

⁶ ABWil A 19, por. niżej.

⁷ Patrz przypis 4.

Ubogi szlachcic na jednej wiosce troszczy się jednak, aby żona

(...) poczuwając się w powinności swojej małżeńskiej, pogrzeb ciała memu grzesznemu według zwyczaju chrześcijańskiego i możliwości swojej uczyniła, zaprosiwszy panów przyjaciół i sąsiadów bliskich⁸.

I chociaż częstsze są prośby o pogrzeb cichy, to jednak, zdaje się, że tego pragnienia umierających nie rozumieli żywi, dla których owe „obmierłe Bogu i bacznyim ludziom zbytki”⁹ były potrzebą serca i potrzebą próżności zarazem; toteż i unikano ich rzadko. Stanisław Albrycht Zenowicz życzył sobie, żeby bernardyni wileńscy pogrzebali go cichaczem i dopiero potem donieśli jego żonie, że już umarł¹⁰; można jednak wątpić, czy tak zrobili rzeczywiście, skoro ryzykowali przez to obrażenie damy, która była sobie wprawdzie tylko podkomorzyną oszmiańską, ale spowinowacona była z Radziwiłłami.

Dopiero gdy te wszystkie sprawy zostały już wedle możliwości uregulowane, testator przystępował do dyspozycji dotyczących dziedzictwa po sobie. I tu właśnie bardzo często dostajemy przy okazji jego *curriculum vitae*, relację o stosunkach rodzinnych (bo tak zapis, jak i jego odmowa bywa zwykle umotywowana) i oczywiście o interesach majątkowych. Dowiadujemy się, kto i ile winien był testatorowi, przelewa on bowiem te należności na spadkobierców, nieraz bardzo dokładnie określając, którą z nich jak podzielić i na co zużyć; ale dowiaduje-

⁸ Testament J.W. Suzanowskiego, por. niżej; ABWil C 65.

⁹ Testament K.F. Stankiewicza, zob. ABWil D 34.

¹⁰ Zob. niżej; ABWil D 38.

my się także, komu on sam był winien i w jaki sposób chciałby te długi popłacić. Jest na przykład w żarnowieckim archiwum osobna gruba teczka dotycząca długów pozostawionych przez Piotra Paca, wojewodę trockiego; nie zachował się jego testament, ale wiadomo, że pan wojewoda tak się zadłużył, że na spłaty kazał sprzedać rodzinne majątki i jeszcze nie był całkiem pewny, czy wystarczy. Szczęściem miał obrotnego syna, który zrobił karierę na dworze, i to w taki sposób, że jakoś zawsze to jemu od innych, a nie innym od niego pieniądze szły w ręce. Feliks Jan Pac wystąpił sam jako nabywca majątku po ojcu za cenę spłacenia wszystkich jego długów; toteż owa teczka pełna jest obligów, czyli skryptów dłużnych (obojsza zresztą rodziców), a każdy oblig jest przedarty i zaopatrzony adnotacją wojewodziny, Halszki z Szemetów Pacowej:

Pan Feliks (czasem z rozpędu „Felisk”) Pac, czasnik WXL, syn mój namilszy, kupiwszy wiecznością majątność ojczystą Dzisnę za siedemdziesiąt tysięcy złotych polskich, a wypłacając długi godnej pamięci nieboszczyka ojca swego, a małżonka i dobrodzieja mojego, za tym obligiem oddał i zapłacił i dosyć uczynił panu N., i ten oblig oswobodził: który ja oddałam panu czasnikowi, synowi mojemu, jako onemu należący¹¹.

Dodajmy przy okazji, że jakkolwiek nie ma powodu wątpić, że istotnie pan cześnik był w oczach swej matki „synem najmilszym”, sam ten zwrot (jak i „małżonka moja miła” itp.) jest normalnym tytułem należnym rodzinie piszącego; i ra-

¹¹ ABWil D 16.

czej jego brak można by interpretować jako znaczący niż jego użycie.

Zdarza się jednak w testamentach i dumnie brzmiące stwierdzenie, „żem z łaski Bożej nikomu nic nie winien”; zdarza się i testator, któremu wszyscy dokoła są winni, a on nikomu. Ale czy był utracjusz, czy kutwa, czy po prostu zawołany gospodarz – „już mi za ten folwark siedmset dawano, a jam pretendował większej sumy, przywiódłszy *ad florum* ten folwark”¹² – miał najczęściej koło siebie cały rój bliższych i dalszych krewnych, nie licząc przyjaciół (choć przyjaciom legowano rzadko) i służby, o której losie powinien był także pamiętać.

Jakuba Umbrosa, kuśnierza poddanego, uwalniam, pozwalając gdzie chcąc sobie mieszkać; za jego z małych lat usługi daję mu tę wolność, i temu wyprawę z dwornego bydła aby dano: sochę wołów, krów trzy, i owiec pięćoro, klaczkę młodą dereszowatą i odzież nową jak na samego, tak i na żonę i dzieci; na zasiew każdego zboża po dwie beczki¹³.

Ale to już hojność wyjątkowa i takie uwolnienia zdarzają się rzadko.

Rozdzieliwszy więc między spadkobierców tak długi, jak i swoją „ubogą fortunę” (ta „uboga substancja moja” pod niejednym piórem zaskakuje, ale frazes ten był w powszechnym użyciu i mało kto umiał go opuścić) przystępował testator do ostatniego punktu, którym jest pożegnanie. Ten punkt

¹² Testament K. Zabłockiego, por. niżej; ABWil D 37.

¹³ Testament M. Chmielnickiego, por. wyżej; ABWil C 17.

jest może najswobodniej traktowany: czasem go nie ma wcale, a czasem znów bywa bardzo długi i wylicza imiennie mnóstwo osób. Zdarza się w nim dość często, ale nie zawsze, prośba o darowanie win; a także (choć jeszcze rzadziej) oświadczenie, że testator sam wybacza wszystkim swoim winowajcom. Tutaj także najczęściej wymienia się egzekutora testamentu, jeżeli się go w ogóle naznacza: jest jednak wiele testamentów bez egzekutora. Ten i ów testator mianował go już może ustnie poprzednio, albo uważał, że podział spadku jest prosty i rodzina załatwi to między sobą bez żadnych powikłań. Jeżeli egzekutora naznaczano, dość często o przyjęcie tej funkcji proszono jakiegoś możnego pana, czasem nawet kilku, takich, których testator za życia mógł być raczej sługą i klientem niż przyjacielem. Być może, iż pozycja społeczna egzekutorów bywa wprost proporcjonalna do trudności, których się testator spodziewał: im bardziej groziło jego dyspozycjom zakwestionowanie, tym potrzebniejsza była można opieka. Czasem zaś mogły wchodzić w grę po prostu tradycje rodzinne. Niemal każda rodzina była przecież mniej lub więcej związana z dworem lub przynajmniej stronnictwem któregoś magnata.

Właściwy tekst testamentu kończył się datą. Gdy ten, który go spisywał, doszedł do ostatniej linijki, nacinał papier o palec niżej, równoległe do pisma i prawie przez całą szerokość karty, zostawiając tylko marginesy na około trzech palców. Następnie podcinał z obu boków wzwyż i tak powstały skrawek zaginał do góry tak, że jego brzeg czasem nawet przykrywa ostatnią linijkę tekstu; w to zagięcie kładło się wosk i wtedy testator oraz świadkowie przyciskali swoje pieczęcie. Tak powstawał rząd pieczętek tuż pod tekstem, co uniemożli-

wiało jakiegokolwiek dopiski. Miejsce na podpis testatora (o ile był piśmienny) było na lewym marginesie, na przedłużeniu rzędu pieczętek; świadkowie podpisywali poniżej. Prawo nakazywało prosić ich o poświadczenie testamentu nie przez posła ani przez listy, ale „ustnie i oczewisto”, to jest w rozmowie twarzą w twarz. Miało to wykluczyć wszelkie nieporozumienia i ewentualne podstępny osób trzecich; jak zobaczymy, nie zawsze wykluczało skutecznie. W każdym razie stała formuła podpisu brzmiała: „Ustnie i oczewisto proszony do tego testamentu świadek od osoby wymienionej, podpisuję”.

Fałszerstwa, procesy, działy

Trochę już dzisiaj w naszych warunkach zapomnieliśmy o takich rzeczach jak spadek po bogatym wujku, i jeszcze tylko w XIX-wiecznej powieści obyczajowej straszy rodzina starego Marcina Chuzzlewita. Ale wchodząc w świat staropolskich testamentów odnajdujemy znowu ludzi-sępy i ludzi-lisy. W tak małym zbiorze jak nasz są aż trzy testamenty sfalszowane, i to za każdym razem inną metodą. Jan i Katarzyna Michniewscy piszą testament brata Katarzyny, Władysława Nieszyjki¹⁴, i zagarniają jego wioskę; rzecz jednak jest szyta tak grubo, że wkrótce przyznają się do winy i urzędowo uznają ten testament za nieważny. Lepiej poradził sobie Samuel Oskierko, sędzia (sędzia!) mozyrski¹⁵: pisząc testament swojej niewidomej żony pod jej dyktando, inaczej

¹⁴ Testament Wł. Nieszyjki, por. niżej; ABWil D 6.

¹⁵ Testament A. Oskierczyny, por. niżej; ABWil D 5.

napisał, niż dyktowała, ale głośno odczytał w jej wersji, to też świadkowie podpisali. Wreszcie Marcjanowi Giedroyciowi zarzucano wszycie dodatkowych stron do testamentu szwagra i przywłaszczenie sobie opieki nad jego małoletnimi dziećmi¹⁶; sprawa jest wielce niejasna, a testament zachowany w stanie usprawiedliwiającym podejrzenia, ale niczego nie dowodzącym wyraźnie. Oczywiście za każdym razem znajdował się ktoś, kto albo podejrzewał fałszerstwo, albo o nim dobrze wiedział: więc i sypały się pozwy, dekreta, odwołania, odroczenia i znowu dekreta. Potem, gdy mimo dekretów strona przegrywająca nie podporządkowała się wyrokowi (a często się nie podporządkowywała, uznając go za niesłuszny), spadała banicja (ale winowajca na żadne wygnanie nie jechał) oraz infamia (ale cieszył się nadal dobrą sławą i piastował urzędy). Jeżeli nie próbowano dojść swego przez zajazd, przy czym zresztą można było natrafić na zbrojny opór i „wstręt wziąć dobry” – to nieraz winowajca umierał nie zapłaciwszy, i swoim z kolei spadkobiercom przekazywał cały ten nierozwikłany ambaras:

*Et si non mi nocet,
Fortuna, – z wioską nabędę i proces.*

A przecież nie tylko fałszerstwa bywały źródłem procesów o zapisy testamentalne. I nie tylko czyjaś nadmierna chciwość, prowadząca do prób unieważnienia testamentu albo zagarnięcia schedy siłą wbrew jego postanowieniom. Jeśli testator wyznaczył zbyt dużo zapisów do spłacenia gotówką, a gotówki nie było dosyć, już spadały pozwy. Do tego zaś,

¹⁶ Patrz przypis 9.

jako główna może przyczyna procesów, dochodził fakt, że bardzo często testator przekazywał po prostu spadkobiercom różne należne sobie długi, kładąc je przy tym dzielić i rozdrabniać na poszczególne zapisy. Egzekutor i spadkobiercy, żeby spełnić ostatnią wolę zmarłego, musieli więc najpierw dopominać się o zwrot tych długów, i robili to często na drodze sądowej. I tu znów nieraz tak długo wlokła się sprawa, że jeszcze trzecie pokolenie dziedziczyło pretensje do jakiegoś prastarego zapisu i traktowało je zupełnie poważnie; a bywało, że zupełnie niewinny człowiek, ożeniwszy się z dziedziczką kogoś, kto nie wypłacił zapisów testamentowych swego ojca – stawał się nagle „aktorem”, czyli stroną prawną, w cudzym procesie i mógł przy okazji nawet banicję zarobić. To też pomimo wszelkich starań testatorów rzadko się obywało bez jakiegoś „warchołu”.

I trudno się dziwić. Skoro nawet testatorzy, stojąc nad grobem i patrząc na sprawę już niemal z perspektywy wieczności, bardzo rzadko umarżali długi sobie należne, a jeżeli, to i tak tylko w części i z mnóstwem różnych warunków – skoro nawet oni uważali sobie za obowiązek przekazać całe mienie bez uszczerbku spadkobiercom – to i nic dziwnego, że sami spadkobiercy kierowali się w życiu zasadą jakby z ust pana Rzędziana wyjętą: Cudzego nie chcę, ale swojego nie daruję. Dodajmy, że pierwszą część tej zasady stosowano nie bez pewnego przymrużenia oka, drugiej natomiast trzymano się ściśle.

W zasadzie po pogrzebie powinna była nastąpić tzw. komplancja lub kompozycja, albo po prostu działły: wszyscy spadkobiercy zgromadzeni razem otrzymywali należne sobie

legaty, rozdzielane przez egzekutora. Było to tym łatwiejsze, im uboższy testator i szczuplejsza scheda, a zwłaszcza – im mniej zapisów należało dopiero od kogoś „odyskać”. Często jednak i kilka zjazdów rodzinnych nie wystarczało, żeby sprawę doprowadzić do końca, a już zwłaszcza żeby wszystkich zadowolić: widać to tam, gdzie zachowały się kolejne testamenty kilku pokoleń. Śledzenie takich wypadków jest ułatwione w tym tomie, bo teksty w nim zawarte pochodzą ze zbiorów rodzinnych, zwykle bardzo niepełnych oczywiście, ale jednak rzucających już jakieś światło na sprawę.

Zawartość tomu, zasady wydania

Jak już wspomniałam, tom niniejszy zawiera – z pojedynczym wyjątkiem – teksty pochodzące z jednego tylko małego archiwum. I to jednak nie wszystkie: wykorzystałam 26, pominęłam osiem. Celem wydania jest bowiem nie tyle edycja nieznanymi źródłami – chociaż i to zadanie tomik ten może w swojej skromnej skali spełnić – ile odmalowanie jakiegoś obrazu epoki i ludzi. Zwłaszcza ludzi. Forma antologii daje swobodę łączenia i komentowania tekstów w sposób zależny od dowolnie obranej myśli przewodniej, a taką myślą przewodnią może być absolutnie wszystko, co te teksty zdolne są zilustrować: od jakiegoś prawa ekonomicznego przez historię polityczną aż po historię religii. Dla mnie była nią postawa tych ludzi wobec życia i śmierci, bogactwa i ubóstwa, Boga i człowieka. Staralam się jednak ograniczyć swój komentarz do minimum, tak żeby nie przesłonił on samych tekstów, ani nie przeszkodził czytać ich tym wszystkim, którzy by

w nich szukali zupełnie czego innego. Toteż komentarz nigdy nie przerywa tekstu, nie streszcza go ani nie ucina: testamenty podane są *in extenso* i opatrzone w miarę możliwości wiadomościami o dalszym przebiegu sprawy. Ich dobry stan zachowania, czytelna ortografia i fakt, że przeważająca ich większość pochodzi z czasów dość późnych (zaledwie kilka sprzed 1650 roku), sprawiły, że postanowiłam nie komplikować czytelnikowi lektury przez aparat krytyki tekstu i osobną serię przypisów literowych, tak mile widzianych w świecie specjalistów-edytorów. Niechże mi to darują uczeni...

Ktokolwiek się kiedy edytorstwem bawił, wie też, ile nieraz potrzeba trudu, żeby tekst zaopatrzyć przypisami rzeczowymi, a już zwłaszcza – wyjaśnić nazwy przedmiotów codziennego użytku; ale i miejsca, i ludzie potrafią także stać się nie lada problemem. Słowa niezrozumiałe, a nie zaopatrzone w przypis, to te, których znaczenia mimo starań nie udało mi się wyjaśnić: jest ich kilka, a byłoby o wiele więcej, gdyby nie życzliwość i pomoc wielu osób. Niech więc przyjmą serdeczne podziękowania za tę pomoc: pani prof. dr Zofia Abramowiczówna (także za udostępnienie testamentu Leona Abramowicza), o. Bogdan bazylianin (przypisy sygnowane OB), pan dr Piotr Gach, pan doc. dr Wiesław Muller i pani prof. dr Irena Turnau (przypisy sygnowane IT).

A oto, w alfabetycznym układzie, testatorzy:

Leon Abramowicz	1713	
(beziemienna prządka)	1740 –	ABWiL C 11
Jerzy Budrewicz 1699	C 11	
Symon Budzewicz	1710	C 86
Mikołaj Chmielnicki	1729	C 17
Zofia z Mieleckich Chodkiewiczowa	1618	A 19

Katarzyna z Chreptowiczów		
Czyżowa	1671	C 11
Helena z Nieszyków Gałęcka	1705	C 15
Maciej Gieczyski („Bazula”)	1595	D 43
Anna z Godlewskich		
Jurewiczowa	1726	C 16
Helena z Filipowiczów Łomska	1650	D 5
Anna z Sapiehów Naruszewiczowa	1696	C 65
Władysław Nieszyjka	1695	D 6
Andrzej Okmiński	1658	D 20
Teofila Olędzka	1771	C 19
Audencja z Łomskich Oskierczyna	1667	D 5
Feliks Jan Pac	1700	C 11, C 14
Konstanty Połubiński	1707	C 16
Anna z Goździelskich Przechodzka	1649	C 65
Teodora z Sołtanów Sapieżyna	1774	D 34
Jan Wincenty Suzanowski	1652	C 65
Tomasz Szeliga	1640	C 12
Michał Walerowicz	1730	D 37
Wincenty Piotr Wołłowicz	1727	C 78
Bogumiła z Dłuskich Zabłocka	1761	D 37
Kazimierz Zabłocki	1761	D 37
Stanisław Albrycht Zemowicz	1665	D 38

W tym samym archiwum znajdują się nadto, niewykorzystane w niniejszym zbiorze, testamenty następujących osób:

Eufrozyna z Szemetów Bogatkowa	1736	C 11
Anna z Horainów Mokrzecka	1731	C 11
Agnieszka z Reytanów Naramowska	1745	C 11
Hrehory Stankiewicz-Billewicz	1672	D 34
Kazimierz Florian Stankiewicz	1679	D 34
Teresa z Korsaków Szemiotowa	1755	C 18
Elżbieta Woroczyska	1798	C 11
Marianna Zabłocka	1729	D 37

Osobnym problemem jest stopień rzeczywistego autorstwa tych tekstów, czyli co w nich jest dziełem samego testatora, a co – sekretarza lub notariusza piszącego na niego prośbę. Zapewne najczęściej nie da się tego zmierzyć; warto jednak zanotować następujący szczegół. Helena Gałęcka, która jest bezsprzeczną autorką swojego testamentu, gdyż napisała go w całości własnoręcznie, wyraźnie naśladuje we wstępie testament Jana Feliksa Paca; a mogła znać ten tekst, mieszkając przy wyposażonym przez Paca klasztorze. Dowodzi to, że utarte frazesy niekoniecznie są śladem ręki fachowego notariusza: mogą być po prostu reminiscencją cudzych testamentów, z którymi miano się nieraz w życiu do czynienia, zanim przyszła pora spisać własny. Teksty wyróżniające się swą oryginalnością (np. Zofii Chodkiewiczowej, Mikołaja Chmielnickiego, Michała Walerowicza) można chyba uznać za pochodzące w całości od samych testatorów, i to niezależnie od tego, czy je dyktowali, czy pisali własnoręcznie. Na drugim krańcu skali stoi na przykład testament Przechockiej, sporządzony najprawdopodobniej na jej prośbę przez zięcia, woźnego Polańskiego, czy testament Budziewicza, zbyt gładki jak na dzieło kogoś, kto nic przez całe życie nie napisał. Tu niewątpliwie udział pisarza był duży. Pomiedzy tymi dwiema skrajnościami, na niemożliwym do stwierdzenia stopniu autorstwa, leżą pozostałe teksty tego zbioru. Sądzę jednak, że nawet te, w których „pomoc” pisarza czy notariusza wydaje się widoczna, nie tracą przez to rysów indywidualnych i oddają wiernie postawę i sposób myślenia testatora. A nawet i jego język, bo ostatecznie pisarz pochodził przecież z tego samego kręgu społecznego i kulturowego: mąż Oskierkowej, zięć Przechockiej, jakiś zapewne sąsiad Budziewicza...

I na koniec jeszcze krótko właśnie o języku. Mamy tu do czynienia z polszczyzną kresową, i to uchwyconą w trakcie przemian. Toteż fonetyczne i fleksyjne formy starsze i nowsze, ogólnopolskie i regionalne, sąsiadują tu ze sobą, nieraz nawet w tym samym tekście. W wypadku nazwisk (Zenowicz czy Zienowicz, Oskierko czy Oskirko itp.) zrezygnowałam nie bez żalu z zachowania tych oboczności i konsekwentnie podawałam formy obecnie przyjęte. Poza tym jednak zostawiłam „wszytek” obok „wszystek”, „nawiększy” obok „największy”, „miły” obok „mieły”, „ociec” obok „ojciec”, „tej pani” obok „tej paniej” itd. Niezależnie od tego, czy sam autor tekstu używał równolegle różnych form, czy też na jego polszczyznę nakłada się miejscami późniejsza polszczyzna kopisty – sądzę, że nawet za cenę wywołania wrażenia językowego chaosu należało zachować to oryginalne bogactwo. Zresztą według jakich zasad można by próbować ujednoczenia? Nie stosowałam go więc, o czym wypada uprzedzić, aby nie posądzono korektorów o niedbałość. Zwłaszcza, że poza nielicznymi wypadkami szczególnie ciekawych lub szczególnie niekonsekwentnych form językowych lub stylistycznych nie stosowałam też sławetnego „*sic*”: za często rozbijałoby tekst!

Pisownia została oczywiście zmodernizowana według zwykłych zasad. Pewną trudnością jest zawsze rozwiązywanie skrótów grzecznościowych: nasi przodkowie pisali na przykład beztrąsko „WJMP” i było już rzeczą odbiorcy tekstu odczytać to w należytej liczbie, rodzaju i przypadku jako „wielmożny jegomość pan”, „wielmożnych ichmość panów”, czy jak z kontekstu wypadło. Dla ułatwienia płynnej lektury tekstu (a także dla uniknięcia tego XIX-wiecznego dziwolągu,

jakim jest „imć”) postanowiłam podawać tych „ichmościów” w pełnym brzmieniu, co oczywiście nie mogło się obejść tu i tam bez zgadywania. Bywa zresztą, że skróty są w samym tekście częściowo lub całkowicie rozwiązane i wtedy okazuje się znowu, że na przykład dopełniacz liczby mnogiej też bywa czasem „ichmościów”, a czasem „ichmości”, i to niezależnie od rodzaju. Czysta desperacja... Sądzę jednak, że rozwiązanie tych skrótów było konieczną częścią ogólnej troski o przekazanie w tym zbiorze autentycznej atmosfery języka i świata staropolskich testamentów.